

*Fragmenty książki Władysława Krygowskiego Pt.: „W moim Krakowie nad wczorajszą Wisłą”, przeczytane przez Dagnę Feliks.*

[str. 5]

„Stara to prawda, że gdy lat przybywa, powraca się w przeszłość – podobno, aby się odmłodzić. Może to i prawda, ale czy prawdziwa? Wracalem już w przeszłość, gdy miałem siedem, osiem lat. Gdy kończyły się wakacje, patrzyłem na góry i zadawałem sobie pytanie, dość niezwykle jak na dziecko, czemu coś minęło bezpowrotnie. Może to jakiś niedobry sposób patrzenia na świat i jego przemiany każe mi teraz pozbierać wspomnienia z różnych czasów, splecione nierozłącznie z życiem rodzinnego miasta. Dwie miałem miłości i, niestety, zawsze zdradzałem jedną dla drugiej, będąc obu wierny. Taki to już bywa człowiek. Tęskniłem za górami, wiatrem tatrzańskim, za burzą w Beskidach, za przestrzenią nieobeszłą, zaciekawiony zawsze, co jest za stale uciekającym horyzontem. Gdy zaś spełniła się tęsknota, po dniach wędrowania w złotym upale, po nocach pod gwiazdami ogarniało mnie zawsze pragnienie powrotu do miasta. Po co? Po wodę bieżącą, kąpiel, światło, po książki, po muzykę? Zapewne, ale nie tylko po to.

Jest w miejscu, gdzie urodziłeś się i pracujesz, coś, czego nie da się ująć w słowa. Pulsuje w nim twoje własne życie codzienne wplecione w dziesiątki cudzych wątków, które tworzą wspólnotę całego miasta we współżyciu z tysiącem podobnych do ciebie ludzi z ich zabiegami, krzątaniem od rana do wieczora i od wieczora do świtu. W górach jesteśmy sami tylko i samotni, choć to samotność szczególna, w mieście żyjemy we wspólnym tłumie, w kręgu szczególnej niewoli, którą sami wybraliśmy. Nikt nie może bowiem obejść się bez drugiego. Żyjemy swoim życiem i życiem innych ludzi. Oni nam coś świadczą ze siebie, my im w zamian służymy. Toteż miasto niejedno ma oblicze. Wszędzie dodajemy własny wkład, większy lub mniejszy, trwały lub przemijający...”

[str.7]

„Wiele pisano już o Krakowie z tego samego, co i ja, okresu. Zwracano jednak uwagę głównie na nurt życia artystyczno-literackiego i społeczno-politycznego. Nauka, sztuka i polityka doczekały się tylu opracowań i wspomnień, że nie było sensu do nich wracać, skoro to uczynili inni lepiej. Chciałem odmalować obraz codziennego życia sprzed przeszło pół wieku, kiedy w życie miasta zaczęło się wplatać również moje. Wplatało się przez długie lata i tak z nim przeniknęło, że wiele osobistych wątków pełnych jest życia Krakowa i stąd to, co opisuję, bije moim sercem. Nie jest to jednak mój pamiętnik, lecz raczej miasta, pełnego również moich przeżyć, a myślę, że także wielu ludzi z mego pokolenia. Chciałem przywołać do życia dawny wygląd ulic i placów, sklepy i sklepiki, chłopców roznoszących gazety i wykrzykujących tytuły najświeższych wiadomości, sylwetki kupców i kupcowych, straganiarzy i dziadów, dzieci grających w szmaciankę, obywateli miasta Krakowa, dla których był to najważniejszy tytuł, umieszczany na klepsydrach”.

[str. 9]

„Podrastałem w codziennej atmosferze inteligenckiej rodziny, ze wszystkimi dobrymi i niedobrymi jej stronami. Związana była z Krakowem, lecz od czasu do czasu odzywało się w niej echo wschodnich kresów Podkarpacia, gdzieś z krańców dziewiętnastowiecznej galicyjskiej Polski. Odzywało się to w różnych, nie zawsze uświadamianych, nawrotach, w zwyczajach i nawykach, w atawizmie niektórych pojęć, w niektórych określeniach, nawet w tak śmiesznych sprawach jak przywiązanie do pewnych wschodniogalicyjskich potraw, np. do wigilijnej kutii.

Na moich oczach miasto rosło i zmieniało się. Zmieniały się ulice, które zaczynał pokrywać asfalt, zastępując kocie łby i bruki, ...”

[str. 13]

„Błądzą więc ulicami miasta i szukam znajomych wśród schodzących z widowni i przyjaciół wśród młodych, idących tymi samymi ulicami. I dla nich starałem się opowiedzieć o mieście kształtującym mnie w okresie dwóch nieludzkich wojen, z których dwa razy rodziła się Polska, chociaż była to zawsze jedna i ta sama ojczyzna.

Trzeba to było powiedzieć i przypomnieć dawny Kraków za miłościwie panującego Hawełki – zanim skończy się dawne, zanim nowe się zacznie...”

[str. 28]

„Odsuwaliśmy się od okien i do głosu przychodziło znowu nasze życie codzienne. Mieszkanie było duże, zajmowało całe pierwsze piętro, trzema oknami od frontu panowało nad Sławkowską, a pięcioma nad Świętego Marka. Wiecie, jakie to były mieszkania. Pokoje jak sale, wysokie, i rozległe, połączone drzwiami na całą prawie ścianę, jak w pałacu. Były to raczej odrzwia empirowe, z bogatym, złożonym, wypukłym ornamentem i wklęsłościami rytmicznie rzeźbionych żłobków, z wysoko umieszczonymi klamkami, do których musiałem jako malec podskakiwać, by otworzyć drzwi. Przeważnie były jednak otwarte, a gdy je zamykano, oznaczało, że nie powinno się teraz wchodzić.

Królestwem moim była jadalnia, najlepsze miejsce do zabawy. Była tak wielka, że wokół kwadratowego dębowego stołu można było biegać jak „w kółku” na Plantach...”

[str. 29]

„...Stół służył mi do innego jeszcze celu. Oto w jego zakamarkach mogłem ukradkiem, niezauważony przez nikogo, schować przy obiedzie coś, czego nie lubiłem. Przy rozsuwaniu stołu wszystko niestety wychodziło na jaw.

Wśród sprzętów jadalni stojących pod ścianami czołowe miejsce zajmował ogromny, trójdzielny, do ołtarza podobny kredens. Czego w nim nie było! Bo nie wystarczy opowiedzieć, że były w nim zastawy stołowe codziennie używane i wykwintne od święta, zwykłe i niezwykłe, które wyjmowało się na Boże Narodzenie i Wielkanoc lub gdy zjawiali się goście. Jedną z wielu pasji życiowych mego ojca było zbieranie pięknej porcelany i szkła stołowego. Bóg jeden może wie, skąd się to wzięło. Krytykował snobów i nienawidził mieszczaństwa jako sposobu życia – ale był przykładem mieszczanina w dokładności, nawykach, i skrzętności. Miał tyle zdrowego rozsądku, ile wystarczy, by źle czuć się w prawdziwej monarchii i niedobrze w zakłamej demokracji. Czytywał konserwatywny „Czas”, ale podziwiał przemówienia Daszyńskiego; wierzył w trwałość prawa rzymskiego i autorytet profesorów uniwersytetu, ale rozumiał potrzebę postępu; nie znosił antysemityzmu, lecz nie lubił krzykliwości Żydów (i nie-Żydów); był przesadnie oszczędny, czasem prawie skąpy, lecz wydawał sporo na książki, nowe kieliszki, które mu pokazał Bazes, mający znany sklep w Krzysztoforach w Rynku, lub na nuty w księgarniach Krzyżanowskiego, Eberta i Friedleina. Był zamknięty w sobie i nie dawał po sobie poznać, że ma jakieś zmartwienia. Jego troski wyrażały się tym, że chodził po pokoju długo i w milczeniu. „Ojciec ma jakiś kłopot” – mówiła matka, a tymczasem on odmierzał w milczeniu swoje kilometry zmęczenia. Nie widziałem go też nigdy tryskającego wesołością, chociaż miał duże poczucie humoru. Moja matka załamała ręce, gdy ojciec kupił serwis do ponczu: „Kiedy my pijemy poncz!” I rzeczywiście przyrządzono go chyba tylko jeden raz w życiu. Śmiesznym zrzędzeniem losu, z wojny wyszedł cało właśnie ten niepotrzebny serwis, choć bez wazy i szklanej chochli do nalewania. Niezależnie od użyteczności czy bezużyteczności skupywane przez ojca rzeczy były piękne i świadczyły o dobrym smaku.”

[str. 32]

„Między kredensem a oknem, ponad sekretarzykiem jeszcze po mej babce Maciulskiej, było na ścianie miejsce, gdzie w czwartki pukało się w mur i czekało na odpowiedź. Nie, to nie była „Tobelistuka”. Wy tłumaczę później, co znaczyło to magiczne słowo. „Zapukajcie do Jaugustyna” - mówił ojciec, a oznaczało to, że już pora na czwartkową partię szachów. Albo była odpowiedź, albo nie było, gdyż mieszkający za ścianą lekarz ginekolog Stanisław Jaugustyn mógł mieć właśnie pacjentkę. Zwyczaj pukania nie został zarzucony nawet wtedy, gdy doktor założył sobie telefon. Bardzo lubiłem, gdy przychodził, zawsze bowiem opowiedział coś ciekawego. Był starym kawalerem, lecz mimo wieku trzymał się znakomicie. Obracał się głównie wśród lekarzy i adwokatów, a z ojcem znał się z polowań, gdyż obaj należeli do spółki myśliwskiej Wisła. Znajomość ta łączyła ich od lat, podtrzymywana pokrewnymi zainteresowaniami i działalnością w Krakowskim Towarzystwie Fotograficznym. Ojciec mój zajmował się fotografią od dawna, i to bardzo poważnie; miał wiele aparatów oraz dodatkowych urządzeń, rozczytywał się w fachowej literaturze i realizował różne nowiny fotografiki francuskiej i niemieckiej. Stąd obok jego świetnych widoków z Tatr, Podhala i Huculszczyzny powstały jedne z pierwszych w naszym kraju, a w fotografice górskiej pionierskie, zdjęcia barwne. To właśnie ojciec, zauroczony fotografią kolorową, którą zaczął zajmować się gdzieś od 1910 roku, wprowadzał Jaugustyna w tajniki tej sztuki. Pamiętam do dziś pudełka klisz z francuskim napisem firmy Lumière. Klisze przeobrażały się w barwne autochromy – a jak się w domu mówiło – które wyświetlało się później przy pomocy archaicznego projektor na ekranie ustawionym w salonie. Projekcje takie odbywały się również w lokalu Towarzystwa przy ul. Karmelickiej 15. Otóż pan Stanisław Jaugustyn postarał się o to, że jego zdjęcie procesji Bożego Ciała na Rynku wraz z innymi dokumentami miejskimi znalazło się w szkatułce włożonej do gałki na Wieży Mariackiej, którą właśnie w 1912 roku remontowano. Zdjęcie to pokazywał – pamiętam – u nas w domu, lecz któż by wówczas przypuścił, że zobaczę je w 1977 roku wyjęte ze szczytu wieży, gdzie przeleżało tyle czasu.

Mam w pamięci sylwetkę tego lekarza-oryginała. Miał dużą głowę podobną do telewizyjnego Kojaka, wyraziste spojrzenie, był zawsze dokładnie wygolony i pachniał wodą o zapachu siana...”

„Ojciec lubił swego partnera od szachów. Partia zaczynała się od sakramentalnego: „A co tam u Wernikowskiego?”, „jak się ma Brudzewski?”, lub „Czy był pan wczoraj u Medweckich?”. Doktor grał dobrze, toteż ojciec znosił cierpliwie dym palonych przez niego egipskich, tylko po jego odejściu wołał: „Otwórzcie wszystkie okna, bo nie można wytrzymać! ...”

[str. 41]

„Na ulicy Sławkowskiej, naprzeciwko kościelnego ogrojca, czyli – jak pisze pamiętnikarz tych czasów Kazimierz Girtler „naprzeciw Pana Jezusa, który jest w kościele u Marków”, poległ 21 lutego 1846 roku niejaki Eustachy Belli, żołnierz rewolucji krakowskiej. Był to trzydziestotrzyletni dzierżawca Zastowa, jeden z wielu patriotów, którzy padli wówczas na ulicach Krakowa. Wspominam o tym, bo jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności wplotła się legenda o nim w nasz domowy język, do którego powstania przyczyniało się otoczenie naszej kuchni: służąca – jak wówczas mawiało się na dzisiejszą gosposię, węglarz, który dostarczał co pewien czas opału ze składu Kwiatkowskiego, stróż sąsiedniego domu opowiadający cuda, gdy sobie podchmielił w szynku Feilguta na Sławkowskiej i Piotr, który czyścił kiszoną kapustą nasze dywany i trzepał je na Błoniach.

Długi czas nie rozumiałem, co mogło oznaczać tajemnicze określenie „Tobelistuka”, którego używało się w domu, gdy rozlegał się jakiś łoskot podejrzany lub huk

niewytłumaczalny. Aż mnie olśniło: „To Belli stuka”!. Bo ciężko ranny powstaniec miał podobno dowlec się do marków i wzywać pomocy, pukając do bramy. Stąd dziwnymi ścieżynkami plotki i drózkami fantazji przybiegło owo „Tobelistuka”, którym – jako dzieci – straszylimy się, gdy się ściemniało, a właśnie coś strzeliło w szafie lub kredensie. Tyle pozostało po zabitym przez Austriaków dzierzawcy. Lecz w łupince tego tajemniczego określenia dopominało się coś życia i doczekało się pęknięcia skorupki, coś, z czego rodzi się tradycja...”

[str. 291-294]

„Dziwna to pani – historia. Raz pamięta o jednych, a zapomina drugich, aby później jednych zapomnieć, a drugich odgrzebać. Wskrzesicielka i grabarka. Ale cóż my, prości ludzie, chodzący po ulicy? A cóż znaczą zwykle rzeczy, które też mają swoje życie? Czyż nie należą do historii? Wraz z ludźmi trwają lub odchodzą również i rzeczy lub trwają niezależnie od człowieka...”

Był w kancelarii ojca ścienny wahadłowy zegar w czarnej drewnianej prostokątnej szafce. Spod białego emaliowanego cyferblatu opadało długie błyszczące wahadło i lśniło złocistą tarczą. Od czasu, gdy Hans Frank zamieszkał chwilowo na Wawelu – dziwna pani, ta historia - nie ma już zegara. A ja wciąż słyszę tykanie jego niezawodnego mechanizmu i czekam na dźwięk wybijający kwadrans, półgodziny i godziny. To był zegar rodzinny. Ojciec nakręcał go, regulował i sprawdzał. Zegar witał każdego wchodzącego do kancelarii, gdyż wisiał na wprost wejścia. Bił dźwięcznie i łagodnie, jego uderzenie przechodziło w echo, a to urastało w nowe uderzenie. W ciągu dnia słyszało się go nawet wówczas, gdy był gwar w kancelarii, w nocy wypełniał sąsiednie pokoje.

Spałem w pokoju między kancelarią a pokojem matki, gdzie na ścianie wisiał drugi zegar, zegar matki, jakże inny w kształcie i nie wydzwaniający godzin. W drewnianym czarnym ośmioboku, ozdobionym złożonymi ośmiokątnymi ramami, oddychał głęboko jak śpiący, zwinięty w kłębek pies mechanizm tarnowskiego zegarmistrza. Mówiło się: „na zegarze mamy jest dziesiąta. Idź, zobacz, jak jest na zegarze ojca”. Mówiło się też, że oba są po rodzicach ojca, którzy opowiadali, że wisiały jeszcze u ich dziadków. Po latach, gdy chciałem zakwestionować ów rodzinny mit, żartowałem, że pochodzą pewnie ze *Straszego dworu* i że to one natchnęły Moniuszkę.

- Ty się śmiej – mówił ojciec, nie pamiętając, że mi to już kiedyś opowiadał – ty się śmiej, ale jak ci trochę lat przybędzie, poznasz sens tradycji. Tradycja to nie tylko poglądy i idee ludzi, ich dzieła, książki, obrazy, rzeźby, to także drobiazgi domowe, mało ważne pozornie rzeczy i zwyczaje. Na przykład ten zegar z matczynego pokoju. Czy wiesz, że miał go nakręcać jeszcze stary Fredro w Rudkach, gdzie mieszkała twoja prababka Maciulska? Darował go jej, żeby nie spóźniła się na ślub z twoim pradziadkiem – bo była spóźnialska.

Prawda to czy nie, jest mało ważne, lepiej, żeby to była prawda. Ważne, że w rodzinie trwa coś przez długie lata, co naszych poprzedników zbliża do żyjących, czyniąc z nas przynależnych do jednego pnia. Przywiązujemy się do rzeczy jak do ludzi. To nie jest poczucie własności. Własnością jest poczucie.

- A z Moniuszki ty się nie śmiej – to wspaniały muzyk. I to dobrze, że pisał tak prosto.

Gdy teraz wspominam tę rozmowę – znowu tyka zegar i mierzy uciekające sekundy. To już inny zegar. Na któreś Boże Narodzenie dostałem od żony zwykły, chłopski zegar ścienny, wyrabiany w Mszanie Dolnej. Lubię słuchać oddechu jego mechanizmu i wspominam tamten z ojcowskiej kancelarii.

Gdy dochodziła jedenasta, czekało się na listonosza. Zakochani czekają podwójnie, a czas wydłuża się jak gąsienica. Będzie list czy nie będzie. I co w nim? Stary zegar mierzył rozstania, rozłąki i powroty. Przesuwał się, jakby się nic nie działo. O pierwszej przychodził

listonosz pieniężny, to znaczy z pieniędzmi. Ten nigdy nie był do mnie. Zegar nieubłaganie przesuwiał się ku czwartej po południu. Może teraz coś przyjdzie. Nie przyszło, lecz czas szedł. Wieczorem cichły ulice i bicie zegara sprzeczało się z zegarem ratuszowym. Zawsze uderzenie czasu słyszało się podwójnie, lecz to ratuszowy spóźniał się lub spieszył, nie nasz. Tych samych sześć czy siedem uderzeń ze ściany i te same gdzieś z Rynku. Wiatr był tu pośrednikiem, bo gdy wiał od południa, ratuszowy zegar słyszało się jakby za ścianą. Lubiłem owe dźwięczne krople tu i tam spadające, które odmierzały mój czas i czas miasta.

Nieraz zadaję sobie pytanie, gdzie są teraz, w tej chwili, rzeczy z dawnego mieszkania, utracone w latach wojny podczas licznych przeprowadzek w ciągu godziny, w ciągu „natychmiast”, w rozkazie „sofort”. Nie o los majątku chodzi, lecz o los niematerialnych wartości. Gdzie jest teraz zegar, który był podobno darem Aleksandra Fredry. Może jest na świecie mieszkanie, gdzie jeszcze tyka. Nad Werrą, Wezerą, czy nad Menem, w którymś z miast lub na wsi, w Lesie Turyńskim lub Teutoburskim? Może tam jakiś Hans lub Sepp zapyta kogoś dnia: „Skąd my mamy właściwie ten zegar?” I ktoś odpowie: „Och, to stary zegar, u nas jest już prawie pół wieku. To twój dziadek go przywiózł podobno z Krakowa. Och! Gdybyście znały – dzieci – swego dziadka! Jaki to był prawy człowiek!”